

GERARD GÓRNICKI**Powrót Stanleya Kozdry**powieść
(fragment)

I

Przyszło mi nagle do głowy, że byłoby lepiej, gdyby przed otwarciem testamentu mojego ojca, to znaczy przed jego śmiercią, złożyć pisemne zeznanie w sprawie, która nie zakończy się wcześniej, jak dopiero za kilka lub nawet za kilkanaście lat. Postanowienie podjąłem w parę minut po tym, jak ojciec pokazał mi białą zaklejoną kopertę z napisem „mój testament” i powiedział: „Na wypadek czego, to otworzyć”. Ujrzałem w jego oczach smutek, ale on o śmierci nie mówił, nie wyrzekł tego słowa, bo się jej po prostu bał. Wiedziałem, o co chodzi, zresztą w sprawach dotyczących spadku każdy człowiek orientuje się doskonale, jak wszystko należy rozumieć.

Ojciec leżał w łóżku i chciał mi coś powiedzieć, ale się bardzo zmęczył, gdyż w dniu mojego wyjazdu rozmawialiśmy długo o wielu sprawach. Na samą myśl o podróży ogarniał mnie niepokój. Mrozy i śnieżyce sparaliżowały komunikację, nie istniał żaden rozkład pociągów i nie wiedziałem, kiedy będę we własnym domu.

Ojciec schował testament pod siennik i legł na łóżku. Dopiero po dobrej chwili powiedziałem jedno słowo: „dobrze”, ale o śmierci nic nie mówiłem. Wydawało się zbyteczne, nawet śmieszne wspominać o tym przyszłym fakcie.

W pokoju było coraz ciemniej, z niecierpliwością zerkałem na zegarek. W końcu zdecydowałem się powiedzieć: „To ja już pójdę na stację” - chociaż do odjazdu pociągu było jeszcze półtorej godziny, a dworzec kolejowy leżał w odległości jednego kilometra od domu moich rodziców.

Do pisania tych zeznań zasiadłem dnia pierwszego lutego. Podaję datę nie tylko po to, aby skrupulatnie tworzyć ten dokument, ale przypominałem sobie, że przed trzema laty, w styczniu, krótko po rocznicy moich urodzin

przypadającej na trzydziestego grudnia, omal nie zginąłem w katastrofie samochodowej w Górach Świętokrzyskich podczas służbowej podróży.

Miałem wówczas trzydzieści osiem lat.

Zanim napisałem cokolwiek, długo zastanawiałem się. Pomyślałem, że jeżeli mój ojciec i matka będą dalej brnąć w tym samym kierunku, w którym szli dotąd, pchani rozpaczą - to dojdą do czegoś bardzo złego. A ja w przekonaniu prokuratorów i sędziów będę jedynym świadkiem, który powinien przedstawić najdokładniej tło sprawy, albo sam zostanę oskarżony o dokonanie przestępstwa, którego nie ma wprawdzie odpowiedniego artykułu w kodeksie karnym, ale to było bez znaczenia w przekonaniu mojej matki i mojego brata Karola. Tego właśnie odkrycia dokonałem nagle, zaraz w kilka sekund po tym, gdy ojciec pokazał mi białą kopertę ze swoim testamentem. Wówczas przyszło mi też na myśl, że przez oświetlenie sprawy z mojego punktu widzenia i na skutek ujawnienia wielu mnie tylko znanych szczegółów będę mógł zmienić coś w tym wszystkim jeszcze przed otwarciem testamentu ojca, to znaczy przed jego śmiercią. I przed śmiercią mojej matki, która - jak mi wiadomo - testamentu nie napisała i sądzę, że nigdy go nie napisze. Być może, wprowadzę tymi zeznaniami zamęt w ca-łej sprawie, niepotrzebnie wysuwając moje przeżycia na plan pierwszy, podczas gdy matka i ojciec byli tu najbardziej nieszczęśliwi, bo musieli żyć razem. Właściwie tylko przez kilka dni po przyjeździe ojca ze Stanów do kraju byli zachwyceni nieoczekiwanym spotkaniem po przeszło trzydziestu latach, ale zachwyty zgasł w nich nagle i przestali się do siebie uśmiechać, przestali na siebie życzliwie spoglądać i ze sobą rozmawiać. Początkowo chciałem odstąpić od zamiaru pisania tych zeznań. Być może uląłem się własnych myśli i słów. Gdy zatrzymałem się nad poszczególnymi faktami, dochodziłem do wniosku, że nie potrafię odszukać prawdy, siebie na tle całej sprawy przedstawiając w najlepszym świetle, co można nazwać podłym zważywszy, że rodzice moi byli właściwie bezradni, uśmiechali się do mnie zagadkowym uśmiechem, jakby stali już na granicy obłędu. Tylko oni sami mogliby najlepiej powiedzieć coś o sobie. Długo też myślałem, jak sformułować te zeznania, aż począłem się oddalać od przeżyć moich rodziców, a napisanie pierwszych zdań sprawiało mi wielką trudność. Zdaję sobie sprawę z tego, że w kilkunastu faktach i szczegółach, które przetrwały w mej pamięci, jest tylko część całej prawdy, ona do niczego, być może, nie doprowadzi, niczego nie rozwikła, a tylko jeszcze bardziej skomplikuje i tak już trudną sytuację. Nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko pisać o wszystkim dla własnego

świętego spokoju, chociaż wiem - będzie to najbardziej nie-ludzkie. A może właśnie najbardziej ludzkie, bowiem tak jest od początku świata, że tonący chwyta się brzytwy. Pocieszyłem się, iż te szczątki prawdy potrafią stworzyć najbardziej prawdopodobną wizję, dającą szansę wyjścia z przerażającej ciszy, trwającej zbyt długo, w której nawet nie słychać takiego naiwnego pytania: „co dalej robić?” Oczy matki przestały już być czerwone od płaczu, oczy ojca (zawsze bezłzawe) stały się przestraszone, jakby wypatrzyły coś bardzo groźnego i bardzo złego, zbliżającego się wyraźnie, krok po kroku, od strony rzeki, nad którą rosły niewysokie olchy i wierzby.

Zacznę od faktu, który zdarzył się w piątek, dnia dwudziestego kwietnia 1962 roku, kiedy otrzymałem przesyłkę pocztową z Nowego Jorku, w nieprzemakalnej, grubej kopercie. Otworzyłem ją z pewnym pośpiechem. W skupieniu popatrzyłem na kolorową książkę. Na lśniącej okładce znajdowały się trzy zdjęcia Ernesta Hemingwaya. Twarz tę z białą brodą znałem dobrze, napatrzyłem się jej w różnych ujęciach na łamach pism. Cena książki wynosiła siedemdziesiąt pięć centów, papier byk gazetowy, druk gesty, obce wyrazy, a między nimi: ...*the man and his work*. A więc człowiek i jego dzieło. Fotografie naprawdę doskonałe, tylko ten stary człowiek z młodzieńczym wyrazem oczu miał nieco ironicznie wykrzywione usta.

Listonosz poszedł sobie dalej, w górę ulicy, a ja stałem pośrodku krótkiej drogi, przed domem o kształcie sześcianu i czułem w sobie wznoszącą się falę ciepła. Podniecenie nie opuszczało mnie przez cały dzień, nikt z mojego otoczenia nie potrafił mi wyjaśnić, dlaczego otrzymałem tę książkę o zmarłym tragicznie pisarzu. Mógł to być zwykły przypadek, dziwny zbieg okoliczności, ale nadawcą był *International PEN-Club American Branch*, co wykluczało pomyłkę lub nieporozumienie. Maria spojrzała na książkę bez zainteresowania, potem poszła do sklepu po zakupy. A nasz sąsiad, człowiek przypominający swoim wyglądem średniowiecznego oberżystę, stary kawaler, pokiwał głową z powściągliwym uznaniem i dalej żuł czerstwy chleb. Nie był tego dnia rozmowny, a kiedy popatrzył na książkę, miał oczy lekko przekrwione. Może tylko czerwony druk liter odbijał się w jego białkach... Zagadnąłem go, czy dobrze jest, gdy w dzisiejszych czasach ma się kogoś za granicą, na Zachodzie, ale on rozłożył ręce i nie odpowiedział na moje pytanie. A to nie był już dla mnie zwykły, nic nie znaczący gest. Nasze spojrzenia spotkały się na parę sekund, jedyny raz w trakcie rozmowy, prowadzonej na balkonie, w słońcu. Słyszałem później, jak zamykał za sobą drzwi swojego pokoju na patent, wyłączył radio, które przez cały czas naszej

rozmowy grało. Za ścianą panował absolutny spokój, i w tym fakcie też było coś niepokojącego. W nieufności natężyłem myśli, aby zrozumieć, co się w tym wszystkim ukrywało, i odczułem nieoczekiwany lęk, bo jeśli ten dziwny fakt z książką miał również wchodzić w przerwana w roku 1956 grę, musiałem w duchu przyznać rację mojemu grubawemu sąsiadowi, że i w akcie oskarżenia, skierowanym przeciwko niewinnemu człowiekowi, kryje się groźne niebezpieczeństwo.

Zostałem sam w mieszkaniu. Żółty motyl szamotał się w oknie za firanka, uciekł od zgiełku ulic i bił skrzydłami o szybę. Na szkle, pokrywającym moje biurko, widziałem cień motyla i drzew, stojących za oknem. Ulicą przechodziła dziewczyna o jasnych włosach. Śmiała się do czarnego psa, pędzącego wzdłuż żelaznego płotu. Za ścianą drzew, na równinie nad rzeką, leżało półmilionowe miasto. Z grupy zieleni wyłonił się nagle listonosz, stary i przy-garbiony. Szedł wolno. Torbę z listami miał przewieszoną przez plecy. Stał przy kiosku i pił piwo z butelki. Jego wygolona twarz była koloru kości słoniowej. Odwróciłem się od okna, położyłem książkę na biurku, w cieniu czerwonego abażuru metalowej lampy. Na przedostatniej stronicy tej książki znajdował się wykaz dzieł Hemingwaya, a na ostatniej był rysunek reklamowy, przedstawiający szpital i mężczyznę idącego o kulach. Powietrze stawało się duszne, żółty motyl spadł na rozgrzaną blachę okiennego parapetu. Dygotały mu skrzydła. Listonosz wypił piwo i poszedł w stronę poczty, a ja, nie wiem czemu, pomyślałem, że zostałem wplątany w jakąś sprawę. Nie wiedziałem, czy należy z lękiem przyjmować takie przesyłki, a jeżeli nie z lękiem, to z ostrożnością, jak przyjmuje się obcego człowieka na nocleg.. Co innego listy od mojego ojca, przychodziły bardzo rzadko i nie mogły niczego zmienić w moim życiu.

Ulica przestała być hałaśliwa. Tylko za wielkimi halami targowymi dudniły blisko pociągi. W nocy nie mogłem spać, układałem w myślach tekst listu do PEN-Clubu, aby podziękować za książkę. Istotnie! Hemingway był moim ulubionym pisarzem, ale myśli moje rwały się co chwilę. Byłem podrażniony i zmęczony.

Zbudziłem się późno, z bólem głowy. Wyrząłem przez okno. Padał deszcz, chłodne powietrze orzeźwiło mnie. Napisałem list do Nowego Jorku, krótki, według wszelkich zasad pisowni i kaligrafii. A po obiedzie zabijałem czas czytaniem ilustrowanych tygodników. Szybko zapomniałem o wczorajszym dniu.

Syrena fabryczna daleko zagwizdała.

Usłyszałem, że po schodach ktoś wstępował powoli. Stał przed drzwiami naszego mieszkania, zapukał. Powiedziałem głośno: „proszę”. Wszedł listonosz (nie ten, którego widziałem wczoraj), szczupły i niski. Założył na nos okulary w rogowej oprawie. Wbił we mnie na moment wzrok, błdziłem spojrzeniem po jego chorowitej twarzy, mokrej od deszczu i potu, zielonej od blasku ścian przedpokoju. Starałem się uśmiechnąć. Przyszedł mi na myśl Karol, mój młodszy brat, który przebywał w tym czasie w sanatorium, chory na płuca; bałem się każdej wiadomości o nim.

Patrząc w twarz listonosza, szepnąłem:

- Ma pan nowe okulary.

Zawołał:

- Ale skądże! Od trzech lat te same, w rogowej oprawie. Prezent imieninowy od mojej córki.

Wyjął z torby telegram i trzymając go w palcach, uśmiechał się. Mnie ręce mdlały. Skupiłem się, aby powiedzieć parę grzecznościowych słów. On stał, nic nie mówiąc. Upłynęło dobrych parę sekund, zanim zdecydowałem się wrócić do pokoju. Pożegnaliśmy się skinieniem głowy w milczeniu.

Treść telegramu była następująca:

Ojciec przyjeżdża w niedzielę 22 kwietnia o godzinie 16.40 samolotem KLM-254. Krystyna.

Powiedziałem na cały głos:

- Ojciec wylądował jutro na Okęciu!

Milczenie Marii, stojącej obok mnie, wytłumaczyłem sobie zaskoczeniem. Dodałem:

- Po prostu zapomnieliśmy się cieszyć - i położyłem telegram na pianinie, obok telefonu, pod obrazem Floriana Cynka, ucznia Matejki. Telegram nadany był z miasta o niewieściej nazwie: Elizabeth, leżącego pomiędzy Nowym Jorkiem a Filadelfią, w stanie New Jersey. Nie mogłem sobie wyobrazić twarzy ojca, wyemigrował bowiem z Polski w roku 1930, kiedy miałem dziesięć lat i pamiętam, akurat chorowałem na ospę; Karol miał wówczas cztery lata.

Siadłem w fotelu przy okrągłym stoliku, tyłem do okna, a gdy Maria stanęła naprzeciwko mnie, uśmiechnąłem się i szepnąłem:

- Nostalgia go złamała.

Maria oceniła sytuację ojca bardziej rzeczowo, niezbyt zgadzając się z tą nostalgią, i w wczasy przyznałem, że ojciec był po prostu w przymusowej

sytuacji. Miał do wyboru tylko dwa wyjścia: dom starców w Lakewood albo powrót do Polski.

- A matka? Co będzie z matką? - zapytała Maria i nie spuszczała ze mnie swoich niebieskich, uważnych oczu.

Odparłem:

- Myślę, że ojciec zerwał z tamtą.

Ale Maria stale powtarzała: „po co to wszystko”. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc mówiłem: „nie wiem”, tak długo, jak długo Maria pytała, czy to wszystko ma jakiś sens.

Rzekła:

- Był czas, kiedy pisałeś w swojej ankiecie personalnej, że ojciec nie żyje.

Tym zdaniem przygwoździła mnie nieoczekiwanie i boleśnie. Musiałem przyznać jej rację, ale pośpieszyłem z wyjaśnieniem:

- Potem jednak pisałem, że żyje. Podawałem jego miejsce zamieszkania. Czy tylko ja jeden tak postępowalem?

Skinęła głową na znak, że mnie rozumie. Zbyt często wzywano mnie do wydziału personalnego i kazano mi pisać oświadczenia w sprawie mojego ojca, przebywającego zagranicą.

Po chwili zamówiłem telefoniczną rozmowę z matką. Stałem przy telefonie oparty o drzwi i wpatrywałem się w okno, na którym między doniczkami kaktusów leżał rozmokły motyl. Maria miała w oczach niepokój.

Powiedziałem, niby do niej, niby do siebie, że będzie dobrze.

Odparła:

- Miejmy nadzieję.

Począłem układać w głowie najkrótszy dialog z matką, który miał się za chwilę rozpocząć. Patrzyłem na drobną twarz Barbary Radziwiłłówny z obrazu Floriana Cynka. Miała subtelne rysy, zaczerwienione powieki i bezkrwiste dłonie. Siedziała w zakonnym habicie przy oknie o wspaniałych witrażach. W lewej ręce trzymała list, a w wyrazie jej zamyślonych oczu nie było cienia pokuty. Potem przeniósłem wzrok na akwarium. Wpatrywaliśmy się z Marią w jego martwą wodę, nic do siebie nie mówiąc. W tym momencie, kiedy nakręcałem zegarek, zadzwonił telefon. Powitał mnie głos matki, spokojny i serdeczny. Przeczytałem treść telegramu i zaraz dodałem, że następnego dnia, to znaczy w niedzielę, wyjadę do Warszawy na spotkanie z ojcem. Zapadła na chwilę cisza, po której mówiła długo matka. Głos jej słyszałem doskonale, jakby dochodził z sąsiedniego pokoju, chociaż odległość między nami przekraczała pięćset kilometrów. Matka mówiła z ufnością, nic

nie komplikując, bez okrzyków zdziwienia i bez podejrzeń. Następnie słuchała już tylko tego, co ja mówiłem. Na zakończenie rozmowy dodała, że zaraz uporządkuje mieszkanie i poczyni zakupy większe niż zwykle. Ostatnie słowa wyrzekła cicho, z lekką nutą zażenowania, co wydało mi się bardzo dziecinne. Stałem jeszcze chwilę przy telefonie, długi dialog monotony i ascetyczny, tkwił we mnie. Nie było w nim nic z powstałych intryg. Tak matka jak i ja zapomnieliśmy zupełnie o nich. Ojciec miał już sześćdziesiąt sześć lat, połowę swego życia spędził na emigracji, z pozostałych ponad trzydziestu lat - trzy lata w służbie Habsburga Franciszka Józefa, jako żołnierz. Ale nie stracił w niej głowy ani nie krzyczał: „Niech żyje cesarz!”, gdy oberwał szrapnelem, idąc z okopów na bagnety, pod Tarnopolem, w roku 1915. Po wojnie najmował się jako sezonowy do każdej roboty.

Tego dnia, podczas obiadu, rozmowa z Marią toczyła się jednak tak, jakbyśmy nie umieli albo nie chcieli czegoś powiedzieć. Zaczęła się od filozoficznej dyskusji o szczęściu. Mieliśmy oczywiście na myśli ojca, który o tej porze był na jednym z lotnisk pod Nowym Jorkiem, albo już nad Atlantykiem, na wysokości 10 tysięcy stóp. Powiedziałem:

- Ojciec będzie miał w końcu dodatni bilans życia, dość zresztą intensywnego.

Maria dodała w tonie spokojnym:

- Wszystko to może być radosne, jeżeli będzie zadowolony z życia u nas. Jest już na tyle stary, że nic mu więcej nie będzie potrzebne tylko dobry papieros, kufel piwa i ciepła pierzyna.

Pomyślałem, że ojcu istotnie sprzyja teraz pomyślny los. Jeszcze raz powtórzyłem Marii dokładnie treść rozmowy telefonicznej z matką, ale ten powrót do tematu o matce przyniósł nagle coś nieoczekiwanego. Któreś z nas powiedziało: „obcy człowiek”. Poczulem żal do Marii, ona właśnie podsunęła takie przypuszczenie, ale kategorycznie zaprzeczyła. Zostałem tym tak zaskoczony, że byłem skłonny sobie przypisać te słowa, to porównanie mojego ojca do obcego. Powiedziałem coś porywczo i odtąd każdą myśl, wypowiedzianą przez nas w dalszej rozmowie, przyjmowaliśmy z lękiem. Maria spoglądała w okno, w aleję, od czasu do czasu zamykała oczy, przybierając skupiony wyraz twarzy. Głośno wyrzucałem sobie to, iż czyniłem starania, aby wydostać ojca z domu starców w Lakewood, który nazywał w listach domem wariatów. Pisał, że służba tego domu składała się z samych afrykańskich Murzynów, czarnych jak węgiel. Powiedziałem cicho i wyraźnie:

- Nie róbmy sobie wielkich nadziei, sprawa nie jest prosta. Bardzo niedobrze, że nie pomyśleliśmy o tym poważniej znacznie wcześniej. Trzeba było matce pomóc, aby wyrwała się z wszelkich złudzeń.

Zamilkłem czekając, co Maria powie. Uniosła brwi z wyrazem zdziwienia, że czegoś jeszcze od niej oczekuję. Patrzyłem na nią uważnie, ale zanim powiedziałem cokolwiek na swoje usprawiedliwienie, uprzedziła mnie pytaniem:

- Nie rozumiesz? Wszystko jest bardzo logiczne. Ulisses wraca do Penelopy.

Odrzekłem skwapliwie:

- Oby tak było naprawdę. Ale ja myślę, iż ojciec nie chciał powrócić do domu i jednak boi się bardzo tego powrotu.

Maria umilkła na chwilę, czym podkreśliła złożoność sprawy. Marszcząc brwi i patrząc łagodnie na mnie, rzekła:

- Jest późno. Idź już spać. Rano wcześniej musisz wyjechać po ojca.

Próbowałem coś uratować z naszej rozmowy, choćby jeden jaśniejszy promyk, ale uprzytomniłem sobie, że dalsze roztrząsanie tej sprawy i tak już nic nie zmieni, będzie to już tylko zwykła gadanina, podobna do tej na temat - jak rozpędzić wiatr albo chmury.